

FRANZ KAFKA

**PROZY
UTAJONE**

SUKNIE

Gdy widzę gdzieś suknie z wielokrotnymi fałdami, falbankami, frędzelkami, tak pięknie spoczywającymi na pięknych ciałach, często myślę wtedy, że w takim stanie pozostaną one już niedługo, dostaną zmarszczek, niedających się wygładzić, pokryje je głęboki ornament kurzu, niedający się usunąć, i że nikt nie będzie chciał się narazić na smutek i śmieszność, codziennie rano zakładając tę samą drogocenną suknię, a wieczorem ją z siebie zdejmując.

A jednak widuję dziewczyny, które z pewnością są piękne, pokazują ponętne mięśnie i kostki, i skórę jędrną, i gęstwinę delikatnych włosów, a jednak codziennie pokazują się w owym naturalnym kostiumie maskaradowym, w te same powierzchnie dłoni wkładają wciąż tę samą twarz i raz za razem stają przed swoimi lustrami.

Czasem tylko, wieczorem, gdy późno wracają z jakiejś zabawy, twarz wydaje im się w lustrze zużyta, nabrzmiała, zakurzona, przez wszystkich już widziana, ledwie zdatna do noszenia.

WŚRÓD MOICH KOLEGÓW SZKOLNYCH

Wśród moich kolegów szkolnych byłem głupi, lecz nie najgłupszy. A kiedy mimo to kilku nauczycieli często utrzymywało w obecności moich rodziców i mojej to ostatnie, czynili tak powodowani jedynie szaleństwem ludzi, którzy wierzą, że ryzykując tak ostateczny wyrok, podbili pół świata.

Że jestem głupi, wierzono jednak powszechnie i prawdę posiadano dowody, które dało się z łatwością przedstawić, gdy trzeba było na przykład poinstruować w mojej sprawie kogoś, kto z początku wcale nie miał o mnie niepochlebnego zdania i przed innymi bynajmniej tego nie ukrywał.

Z tego powodu często przychodziło mi złościć się i płakać. Były to wówczas jedyne chwile, gdy czułem się niepewny w swojej obecnej biedzie i zrezygnowany w obliczu tej przyszłej, wszelako niepewny tylko teoretycznie, i zrezygnowany też, albowiem jeśli zaraz potem przychodziło do jakiejś pracy, byłem pewny siebie i wyzbyty wątpliwości, a więc prawie jak aktor, który z kulis wypada w rozbiegu, na chwilę staje daleko od środka sceny, z mojego powodu przykładając sobie dłonie do czoła, podczas gdy pasja, która za chwilę będzie do tego potrzebna, tak w nim wezbrała, że nie potrafi jej ukryć, choć mrużąc oczy, przygryza wargi. Dawna, na wpół miniona niepewność unosi wzbierającą pasję, zaś pasja umacnia niepewność. Niepewność tworzy się niepowstrzymanie od nowa, obejmując je obie i nas.

Dlatego, gdy poznawałem obcych, robiłem się markotny. Targał mną niepokój, gdy niektórzy obserwowali mnie wzdłuż ścian swego nosa, tak jak z małego domku patrzy się przez lunetę ponad jeziorem lub nawet na góry, lub po prostu w powietrze. Dało się słyszeć absurdalne komentarze, statystyczne kłamstwa, błędy w geografii, fałszywe nauki, tyleż zakazane, co wyzbyte sensu, czy też solidne poglądy polityczne, godne uwagi opinie o aktualnych zdarzeniach, wartościowe pomysły, które zaskakiwały na równi mówiącego i zgromadzone grono, a wszystko potem znowuż potwierdzano mrugnięciem, pochwyconiem krawędzi stołu lub zeskokiem z krzesła. Gdy tylko zaczynali w ten sposób, od razu przedstawiali wpatrywać się w człowieka uporczywie i ostro, gdyż ich tułów sam z siebie porzucał normalne położenie, pochylając się to w przód, to w tył. Inni zapominali wręcz o swoich ubraniach (mocno uginali nogi w kolanach, żeby stanąć tylko na czubkach palców, albo na piersiach z wielką siłą ściskali marynarki w fałdy), inni nie, wielu mocno trzymało się palcami binokli, półek, ołówka, lorgnon, papierosa, a większości z nich, nawet jeśli mieli mocną skórę, twarz jednak się rozgrzewała. Ich spojrzenie ześlizgiwało się z nas niczym opadające ramię.

Wpuszczano mnie w moim naturalnym stanie, wolno mi było swobodnie czekać, a potem słuchać albo też odejść i położyć się do łóżka, co zawsze mnie cieszyło, bo często byłem senny, jako że byłem nieśmiały. Była to jakby długa przerwa w tańcu, podczas której nieliczni tylko decydowali się odejść, większość, czekając, to tu, to tam, stała lub siedziała, tymczasem muzycy, o których nikt nie myśli, wzmacniali się gdzieś przed dalszą grą. Tylko że wcale nie było tak spokojnie i nie każdy musiał dostrzec przerwę, na sali było równocześnie wiele balów.

Dzięki temu wszystkiemu nie czułem własnych obaw, obaw przed mężczyzną, któremu, wyzbyty wszelkich uczuć, podałem swoją dłoń, którego nazwiska nie znałem, gdy nagle jego imię wykrzyknął być może jeden z przyjaciół, i naprzeciwko którego siedziałem godzinami, w całkowitym spokoju, nieznacznie tylko, jak to czasem dzieje się z młodymi, osłabiony od skierowanych z rzadka tylko w moją stronę spojrzeń osoby dorosłej.

Kilka razy pozwoliłem, zgoda, spotkać się jego spojrzeniom z moimi, usiłując dłużej, ja, pozostawiony w spokoju, albowiem nikt się ze mną nie liczył, patrzeć w jego błękitne dobre oczy, niech będzie, że tym samym formalnie opuszcza się zgromadzone grono. Gdy się nie udawało, nie dowodziło to niczego poza samym faktem usiłowania. Dobrze, nie udało mi się, z tą nieumiejętnością zdradziłem się zaraz na początku i także później, ani przez chwilę nie potrafiłem jej ukryć, ale przecież również stopy niewprawnych łyżwiarzy chcą podążać każda w inną stronę, obie zaś – porzucić lód. Gdyby jakiś skądinąd porządny [luka w tekście] i mądrego, który nie znajdowałby się ani przed ową setką, ani obok niej, ani za nią, tak że można by go od razu i z łatwością dostrzec, lecz był pośrodku tych innych, tak że można by go ujrzeć tylko z podwyższonego miejsca, a i wtedy widziano by tylko, jak znika. Tak właśnie wyrokował o mnie mój ojciec, który w politycznym świecie mojej ojczyzny jest człowiekiem poważanym i odnoszącym sukcesy. Przypadkowo usłyszałem tę opinię, gdy miałem chyba siedemnaście lat, przy otwartych drzwiach czytając w pokoju obok pokoju mojego ojca jakąś książkę o Indianach. Te słowa zwróciły wtedy moją uwagę, zapamiętałem je, jednak nie zrobiły na mnie wrażenia w najmniejszym choćby stopniu. Jak to zwykle bywa z młodymi ludźmi, na których w żaden sposób takie

wyroki nie wpływają. Bo albo całkowicie w sobie spoczywając, albo nieprzerwanie się w siebie cofając, odczuwają swoją naturę głośno i silnie, jak muzykę pułkową. Ogólny wyrok ma jednak dla nich nieznaną przesłankę, nieznaną zamiary, wskutek czego ze wszystkich stron jest on niedostępny; udaje spacerowicza na wysepce w stawie, gdzie brak łódek i mostów, słyszy muzykę, lecz sam jest niesłyszalny.

Tym samym nie chcę jednak atakować logiki młodych ludzi.

AEROPLANY W BRESCII

Przybyliśmy. Przed aerodromem znajduje się jeszcze wielki plac z podejrzanymi drewnianymi domkami, na których spodziewaliśmy się zupełnie innych szyldów niż: Garage, Grand Büffet International i tym podobne. Potworni, otłuszczeni w swych wózeczkach żebracy wyciągają ramiona na drogę, człowiek w pośpiechu próbuje ich przeskoczyć. Wyprzedzamy wielu ludzi, a wielu nas wyprzedza. Spoglądamy w powietrze, o które przecież tutaj chodzi. Bogu dzięki, żaden jeszcze nie lata! Nie schodzimy z drogi, a jednak nikt nas nie przejeżdża. Włoska kawaleria podskakuje między tysiącem furmanek, za nimi, w ich stronę. Chaos i nieszczęśliwe wypadki zdają się wykluczone po równi.

Pewnego razu w Brescii, późnym wieczorem, chcieliśmy dostać się prędko na określoną uliczkę, która naszym zdaniem była dość daleko. Dorożkarz żąda trzech lirów, my oferujemy dwa. Dorożkarz rezygnuje z jazdy i tylko z sympatii opisuje nam potworny dystans, dzielący nas od owej ulicy. Zaczęliśmy się wstydzić naszej oferty. Dobrze, trzy liry. Wsiadamy do środka, trzy zakręty pojazdu krótkimi uliczkami i oto jesteśmy tam, gdzie chcieliśmy. Otto, bardziej energiczny od nas obu, wyjaśnia, że za jazdę trwającą minutę w najmniejszym oczywiście stopniu nie zamierza zaoferować trzech lirów. Jeden lir będzie aż nadto. Oto jeden lir. Jest już noc, uliczka jest pusta, dorożkarz jest silny. Wpada od razu we wściekłość, jakby kłótnia trwała już całą godzinę: Co? – To oszukaństwo. – Co my sobie myślimy. – Sta-

nęło na trzech lirach, należy zapłacić trzy liry, dawać mi tu trzy liry albo popamiętamy. Otto: „Taryfa albo straż!”. Taryfa? Nie ma taryfy. – Gdzież miałaby być na to taryfa! – To była umowa na nocną jazdę, lecz jeśli damy mu dwa liry, pozwoli nam odejść. Przestraszyć Otta: „Taryfa albo straż!”. Jeszcze kilka krzyków i trochę szukania, potem pojawia się taryfa, na której nie widać nic oprócz brudu. Zostaje przy lirze pięćdziesiąt i dorożkarz już jedzie dalej wąską uliczką, w której nie może zawrócić, nie tylko wściekły, lecz także, jak mi się zdaje, zasmucony. Albowiem nasze zachowanie dalekie było od poprawnego; we Włoszech nie można sobie tak poczynić, gdzie indziej może to być słuszne, tutaj nie. Ale któż by się zastanawiał nad tym w takim pośpiechu! Nie trzeba niczego żałować, w jeden tydzień nie można zamienić się we Włocha.

Skrucha jednakże nie powinna nam zepsuć radości na samym lądowisku, to spowodowałoby tylko znowu świeżą skruchę, bardziej tedy wskakujemy w aerodrom, niżli tam idziemy, z entuzjazmem naszych wszystkich kończyn, który pod tym słońcem nagle nas, jednego po drugim, czasami ogarnia.

Mijamy hangary, za zasłoniętymi kotarami stoją one tam sobie niczym pozamykane sceny wędrownych komedianów. Na frontonach widnieją nazwiska awiatorów, których maszyny kryją się w środku, powyżej trójbarwne sztandary ich ojczyzn. Odczytujemy nazwiska: Cobianchi, Cagno, Calderara, Rougier, Curtiss, Moncher (trydentyk noszący włoskie barwy, ufa im bardziej niż naszym), Anzani, klub rzymskich awiatorów. A Blériot?, pytamy. Blériot, który cały czas był w naszych myślach, gdzież podziewa się Blériot?

Przed swoim hangarem, po ogrodzonym płotem placu, biega tam i z powrotem Rougier, niski człowieczek

z wydatnym nosem i podwiniętymi rękawami. W widoczny sposób zajmuje go jakaś czynność, trochę niejasna, rzuca ramionami, rękami, nad wyraz niespokojnie, idąc, uderza się dłońmi, za kotarę posyła swoich ludzi, to znowu przywołuje ich z powrotem, sam wchodzi do środka, przepychając się przez wszystkich do przodu, podczas gdy jego żona, w przylegającym, białym odzieniu, w małym czarnym kapeluszu mocno naciśniętym na głowę, z delikatnie rozstawionymi nogami i w krótkiej spódnicy, spogląda w pusty gorąc, kobieta interesu i wszystkie jej troski, spadające na jej małą głowę.

Przed sąsiednim hangarem siedzi Curtiss, całkiem sam. Przez odrobinę tylko rozchylone zasłony dostrzec można jego maszynę; jest większa, niż opowiadano. Kiedy przechodzimy obok, Curtiss wysoko przed sobą trzyma „New York Herald”, czytając jakąś linijkę na górze strony; po półgodzinie znowu przechodzimy obok, teraz jest już w połowie tej strony; mija kolejne pół godziny, kończy stronę i zaczyna nową. Latać widocznie dziś nie chce.

Odwracamy się i widzimy rozległe pole. Jest tak olbrzymie, że wszystko, co się na nim znajduje, wydaje się opuszczone: pobliska tyczka wskazująca cel, maszt sygnałowy w oddali, katapulta startowa po prawej, automobil komitetu naprężonymi od wiatru żółtymi chorągiewkami rysuje po polu łuk, przystaje w swoim własnym kurzu, po czym znowu jedzie.

Stworzono tutaj, w tej krainie nieomal tropikalnej, sztuczne pustkowia, zgromadziła się tutaj najznamienitsza arystokracja Włoch, wspaniałe damy paryskie i tysiące innych, aby zmrużonymi oczami wpatrywać się w to słoneczne pustkowia. Nie ma na tym placu nic, co przynosi urozmaicenie na innych obiektach sportowych. Brakuje ślicznych przeszkód dla koni wyścigowych.

gowych, białych linii boisk tenisowych, świeżej trawy meczów futbolowych, kamiennych wzniesień dla wyścigów automobilowych i kolarskich. Popołudniami jedynie, dwa albo trzy razy, przez ów płaski teren ciągnie kłusem barwny oddział konnych. Końskich kopyt nie widać w tym kurzu wcale, słońce świeci monotonnie do około piątej po południu. I aby nic nie zakłócało obserwacji terenu, nie gra tu muzyka, jedynie gwizdy tłumu, okupującego tanie miejsca, usiłują zaspokoić potrzeby uszu, tudzież niecierpliwość. Wszelako z perspektywy droższych trybun, stojących za nami, tłumek ów mógłby bez różnicy stopić się w jedno z pustkowiec.

W pewnym miejscu, przy barierce, stoi obok siebie bardzo wielu ludzi. „Jaki mały!”, woła grupka Francuzów, jakby wzdychając. Co się stało? Przeciskamy się do przodu. Stoi tam, na polu, całkiem blisko, mały aeroplan, pokryty prawdziwą, żółtą farbą, przygotowywany do lotu. Teraz widzimy także hangar Blériota, obok hangar jego ucznia Leblanca, wzniesiono je oba na samym polu. Przy jednym ze skrzydeł maszyny stoi, oparty o nie, Blériot i patrzy na ręce swoim mechanikiem dłubiącym przy silniku.

Jeden z robotników chwytą ramię śmigła, aby nim zakręcić, szarpie, słycać jakieś drgnięcie, coś jakby tchnienie silnego mężczyzny we śnie; lecz potem śmigło ani drgnie. Próbuje się raz jeszcze, próbuje dziesięć, czasem śmigło zatrzymuje się od razu, czasami pozwala sobie na kilka obrotów. To przez silnik. Praca zaczyna się od nowa, widzowie są nią znużeni bardziej niż ci, co ją wykonują. Silnik zostaje naoliwiony ze wszystkich stron; poluzowuje się ukryte śruby, po czym znowu je przykręca; jakiś człowiek biegnie do hangaru i przynosi zapasową część; nie pasuje; człowiek śpieszy z powrotem i kucając na podłodze hangaru, obrabia ją młotkiem

między nogami. Blériot zamienia się miejscem z mechanikiem, ten zaś z Leblankiem. To jeden szarpie za śmigło, to drugi. Lecz silnik jest nieubłagany jak uczeń, któremu zawsze się pomaga, cała klasa mu podpowiada, a on nie, nie potrafi, wciąż tkwi w miejscu, wciąż w tym samym, nieudacznik. Przez chwilę Blériot siedzi spokojnie na swoim miejscu; sześciu ludzi stoi wokół niego bez ruchu; wszyscy zdają się śnić.

Widzowie mogą chwilowo odetchnąć i rozejrzeć się. Z macierzyńskim wyrazem twarzy przechodzi obok młoda pani Blériot, za nią dwójka dzieci. Nie lubi, gdy jej mąż nie może latać, lecz gdy lata, odczuwa strach; poza tym jej piękna suknia jest trochę zbyt ciężka jak na tę temperaturę.

Znów zakręcają śmigłem, być może lepiej, a być może wcale nie; silnik z hałasem zaczyna pracować, jak nie ten sam; czterech ludzi przytrzymuje maszynę od tyłu, ciąg powietrza, idący od wirującego śmigła, pośród ciszy wiatru wokół wzbija ich kitle robocze. Nie słychać żadnych słów, komendy zdaje się wydawać tylko hałas śmigła, osiem dłoni puszcza maszynę, która długo toczy się po grudach ziemi, jak niezdarny tancerz.

Podjeżdżają się wiele takich prób i wszystkie kończą się fiaskiem. Każda sprawia, że widzowie wstają z miejsc, wspinają się na wyplatane krzesła, na których z pomocą wyciągniętych ramion można było utrzymać balans, lecz także równocześnie pokazać nimi nadzieję, obawę i radość. W przerwach włoska arystokracja przechadza się wzdłuż trybun. Wymieniają się pozdrowieniami, ukłonami, rozpoznają, obejmują, wędrują schodami po trybunach to w górę, to w dół. Pokazują sobie *Principessę Letycję Savoia Bonaparte*, *Principessę Borghese*, leciwą damę, której twarz przybrała barwę ciemnożółtych winogron, *Contessę Morosini*. Marcello